

Spośród 18 oper Friedricha von Flotowa, kompozytora-arystokraty, epigona romantyzmu, popularność zdobyła tylko jedna — „Marta”. Nie znaczy to wszakże, iż to pełni na nią zasłużyła, ani też, że reprezentuje sobą jakies szczególne wartości muzyczne. Rzecz ma się akurat odwrócić. I dlatego fakt wybrania „Marty” na kolejną premierę Miejskiego Teatru Muzycznego budzi poważne zastrzeżenia i wątpliwości, tym bardziej uzasadnione, iż wobec ograniczonego zakresu działania sceny operowej (długo realizacja w roku) ogromna ilość przedstawień arcydzieł, daleko bardziej przydatnych dla zespołu i atrakcyjnych dla publiczności, nie może doczekać się wystawienia.

W styczniu 1883 warszawski „Przegląd Tygodniowy” pisał o Flotowie: „Z poważnym smutkiem dowiadujemy się o śmierci kompozytora, który zachwycał miłym humorem. Szczerze żróżło jego melodii tryskało orzeźwiająco, nie dręczył słuchaczy utworami wzniosłe nudnymi, a gdy w późniejszych latach wyczerpała się z części jego twórcza działalność, nie szukał zadowolenia w pisaniu grubych kłaków, gdzie autor z lekceważeniem mówi o melodiach, mszcząc się, iż mu odmówiła siwych włosów”. I o „Marte”, że jest „rozkoznym humorem i subtelnością pomysłów zachwycającym dziełem, mającym dziś jeszcze dłuższą przyszłość zapewnioną, niż niektóre wypuszczone utwory, nadętą sną próżnością słuchaczy usypiające”. Oto sąd godny swoich czasów.

Romantyczno-komiczna „Marta” czyli Kiermasz w Richmondzie, do libretta Wilhelma Friedricha (właścicielem mławisko Friedrich Wilhelm Ries), wspaniałego niemieckiego dramaturga — powstała w latach 1846—47 w oparciu o wcześniejszy pomysł sceniczny. Jej premiera odbyła się 23 września 1847 r. w Wiedniu (Warszawa zobaczyła ją już w trzy lata pó-

Jacek Berwaldt

DZIENNIK POLSKI

3. XI. 1971

Z Teatru Muzycznego

„Marta” von Flotowa

znief); w 1882 r. tamże — w obecności dobiegającego kresu życia kompozytora — miało miejsce pięcioletnie jej przedstawienie. Muzyka „Marty” przynosiła skutoście zespoleń elementów opery niemieckiej i francuskiej, pierwiastków liryzmu i komiczności. Odróżnia się prostotą i melodyjnością — prostotą aż nadto dosłowną, melodyjnością raczej clikną, płytką. Do tego dochodzi statyczne libretto, intryga utkana bardzo wątki nico. A reszta — należał już do teatru.

Jaka jest krakowska „Marta”? Jawi się na scenie Miejskiego Teatru Muzycznego w dość niewygodnym dla tej instytucji momencie. Nie od dziś bowiem słyszymy o nekującym ją potężnym kryzysie artystycznym i organizacyjnym. (Nie miejsce tu na analizę aktualnego stanu rzeczy.) „Marta” stała się jego bezpośrednią ofiarą — oby ostatnią. Wiele artystycznego wysiłku, dobrej woli i (niełatwy, która) nie sposób nie zauważyć — w ostatecznym efekcie dało wynik niekorzystny, budzący poważny sprzeciw. Mamy dla „Marty” wiele niekłamanej zyczliwości, ale niestety mało respektu.

Stosunkowo najwięcej dobrego da się powiedzieć o muzycznej stronie spektaklu. Jadwiga Romańska jako lady Harriet vel Marta nie była na premierze najlepiej wyposażona; do roli swej wniosła wszakże ogromne doświadczenie i wypróbowaną sprawną technikę wokálną. Słynną pieśń o roży zaśpiewała z ujmującą prostotą i kulturą. Holna Zychal-Szymańska jako jej powiernica, Nancy vel Julia — nie miała słabych punktów i mo-

że tę partię — obok Carmen — uznać za swe najważniejsze osiągnięcie. Po Piementie — kolejną udaną rolę zapisał na swym koncie także Tadeusz Podsiadło. Krępujący lorda Tristana z dobrym wyczuciem iś ceniąc i pełną swobodą śpiewając. Dufiej satysfakcji dostarczał Jerzy Sypek w roli Plumketta, tworząc postać prawdziwą, żywą, ciesząc ładną barwą swego głosu i wyrazistą dykcją, a nadto wszystkim starannością odczytania tekstu nutowego. Sędzią z Richmondu był Thor Potłuch — o imponującej sylwetce, dość jednak jeszcze surowy, gdy idzie o sztukę wokálną.

Trudną, bogatą w tradycje wykonawczą, partię Lionela przyjął na siebie Kazimierz Myriak, śpiewając ją na zmianę z Ryszardem Słyszem (także na premierze — w wyniku nagłej niedyspozycji). Niestety, żaden z nich nie zadowolił w pełni. Myriak (choćściowo usprawniony) śpiewał Lionela jakby z obowiązku, bez wewnętrzznego przekonania, bez ukończenia frazy, głosem ostrym o brzmieniu metalicznym. Słysz zaś — przy dużym i wcale ładnym materiale głosowym — nie osiągnął potrzebnego wyrazu, niepokoił niedbałą dykcją, brakiem wokálną i aktorskiej dyscypliny.

Dodatkowo podkreślić należy w spektaklu dobre zastrójenie i respektowanie głosu w ensemblach i pełną niezależność śpiewaków od kanonu orkiestrowego. Chór, przygotowany przez Zbigniewa Toffia, miał brzmienie pełne, czyste (nieco słabszy był jedynie występ pań w scenie polowania — ale to epizod). Orkiestra

— prowadzona przez Andrzeja Rozmarynowicza — stanowiła najjaśniejszy punkt wykonania: dobrze wyznaczona pod względem brzmienia, miękka, precyzyjna — zasłużyła na słowa szczerzego uznania. Dyrektor Rozmarynowicz, którego po raz pierwszy miałem okazję oglądać przy pulpiciu przedstawiał się jako dyrygent opanowany, czujny, prowadzący przedstawienie pełną ręką, bardzo przyjemnie zresztą także od strony wizualnej.

O reżyserii — niewiele dobrego można powiedzieć; owszem, jest na scenie dużo ruchu, jest kolorowo. Ale to mało. O scenografii — chyba tylko to, że w miejscu o tak rozległych i poważnych tradycjach, jakie posiada Teatr m. Stowackiego — odbieramy ją z wyjątkowym niesmakiem. Może nie w całości (do przyjęcia jest izba w mieszkaniu Plumketta i Lionela), ale to nie zmienia istoty rzeczy. Nie zmienia jej także powołanie się na taką, czy inną konwencję: zły smak pozostaje zawsze faszem. I jeżeli przynajmniej, że nowoczesny teatr operowy to nie tylko śpiew, ale także, a właściwie przede wszystkim, reżyseria i scenografia — to krakowską „Martę” z góry musimy zaliczyć do tragicomicznych pomyłek.

Rozumiemy trudności, z jakimi boryka się Miejski Teatr Muzyczny. Bolejemy nad jego potknięciami, i prawdę — choćby bolesną — chcemy mu powiedzieć.

Miejski Teatr Muzyczny — scena operowa: „Marta” F. von Flotowa, w przekładzie J. Zukowskiego — opera romantyczno-komiczna w 4 aktach. Kierownictwo muzyczne A. Rozmarynowicz, inscenizacja i reżyseria Z. Biliński, scenografia J. Taryllo, choreografia J. Gógol, chórmistrz Z. Toffel. Premiera prasowa 25. X 1971.